



ks. Jan Sochoń

Jesteśmy utkani ze spotkań

Bliżej się z nim zaznajomiłem, kiedy został rezydentem w Parafii pod wezwaniem Świętego Stanisława Kostki na Żoliborzu. Widywałem go tam niekiedy. Uczestniczyłem w Mszach Świętych za ojczyznę i za tych, którzy dla niej cierpieli. Ale nie nazwałbym tego przyjaźnią, lecz raczej znajomością na odległość. Moja zażyłość z księdzem Jerzym Popiełuszką, a właściwie teraz Błogostawionym Księdzem Popiełuszką, zawiązała się dopiero po jego bestialskim zabójstwie. Teraz właściwie mogę powiedzieć, że jego osoba i postać jak gdyby tworzą i współtworzą moją kościelną, chrześcijańską wrażliwość. Bardzo często podczas modlitwy odwołuję się do jego osoby, jego życia i jego heroizmu, na który dzięki Bożej łasce się odważył. To dla mnie ogromne wsparcie.

Zacytuję fragment wiersza Księdza Profesora: „Znałem go zaledwie przez chwilę, między jednym a drugim spojrzeniem historii, która wciąż nie może uspokoić się, uciszyć w sobie”. O kim są te słowa?

O księdzu Jerzym Popiełuszce...

Ksiądz Profesor znał go osobiście.

Obecnie, kiedy czekamy na kanonizację Błogosławionego Księdza Jerzego, wiele osób przyznaje się do znaczącej z nim bliskości, serdeczności. Ja się za takiego człowieka nie uważam, chociaż oczywiście go znałem. Właściwie uznałbym się za przyjaciela księdza Jerzego dopiero wiele lat po jego męczeństwie. Stało się tak, kiedy zapoznałem się z jego wypowiedziami, dorobkiem, życiem po prostu. Zostałem bowiem zaproszony przez księdza kardynała Józefa Glempa do grona ludzi, którzy mieli przygotowywać materiały potrzebne do napisania tak zwanego *Positio*, czyli niezbędnego ogniwa w procesie beatyfikacyjnym. Dopiero wtedy ksiądz Popiełuszko zaczął mi się zdawać coraz bardziej bliską, wręcz niejako wchodzącą w krwiobieg mojego doświadczenia życiowego, osobą. Chociaż trzeba przyznać, że znałem go niemal od dzieciństwa...

Pochodziliście przecież z tych samych stron. Z Wasilkowa, gdzie urodził się Ksiądz Profesor, do Okopów, rodzinnej miejscowości księdza Jerzego, jest niespełna pięćdziesiąt kilometrów.

Co więcej, moja mama Franciszka przyjaźniła się z jego babcią Marianną. I owa babcia Marianna kilka razy przyjechała do Wasilkowa, pięknej miejscowości nieopodal Białegostoku, ze swoim wnukiem Alfonsiem, bo wtedy jeszcze nie nazywał się Jurek, ale właśnie Alfons. Takie imię dostał na chrzcie. Tam go przelotnie zobaczyłem. Ale wówczas, jako małe dziecko, niewiele się tym interesowałem. Jakiś czas później do Wasilkowa przybył nowy wikary, ksiądz Piotr Bożyk, jego nauczyciel szkolny, katecheta, a zarazem spowiednik i kierownik duchowy z Suchowoli, parafii, do której należał Alfons. Ksiądz Piotr starał się go ochronić przed naporem ówczesnej komunistycznej władzy, która bardzo panoszyła się w całej Polsce, a szczególnie na wschodnich, podlaskich terenach. Alfons Popiełuszko bardzo mocno związał się z księdzem Bożykiem w czasach szkolnych, a także później, kiedy już mieszkał w Warszawie, studiując w seminarium duchownym na Krakowskim Przedmieściu. Gdy po uroczystości obłóczyn, właściwie z nakazu generała Jaruzelskiego, został wciągnięty w poczet alumnów odbywających służbę wojskową w specjalnej jednostce w Bartoszycach, niedaleko Stoczka Warmińskiego, wówczas też odwiedzał księdza Bożyka w Wasilkowie na plebanii. A ja tam bywałem niemal codziennie. Pamiętam, jak onegdaj przyjechał w mundurze wojskowym. My, ministranci, odbieraliśmy ten fakt jako coś niepojętego i zarazem niebywałego. Oto wojskowy znajduje się na plebanii. W tamtym czasie to było coś bardzo zaskakującego. Wręcz szokującego.

Życiowe drogi Księdza Profesora i księdza Jerzego Popiełuszki przecięły się więc już w dzieciństwie.

Owszem, ale nigdy się z nim nie kolegowałem. Po prostu znaliśmy się z różnych sytuacji życiowych i tyle. Bliżej się z nim zaznajomiłem, kiedy został rezydentem w Parafii pod

Wezwaniem Świętego Stanisława Kostki na Żoliborzu. Widziałem go tam niekiedy. Uczestniczyłem w Mszach Świętych za ojczyznę i za tych, którzy dla niej cierpieli. Ale nie nazwałbym tego przyjaźnią, lecz raczej znajomością na odległość. Dlatego powtarzam raz jeszcze, że moja zażyłość z księdzem Popiełuszką, a właściwie teraz Błogosławionym Księdzem Popiełuszką, zawiązała się dopiero po jego bestialskim zabójstwie. Teraz właściwie mogę powiedzieć, że jego osoba i postać jak gdyby tworzą i współtworzą moją kościelną, chrześcijańską wrażliwość. Bardzo często podczas modlitwy odwołuję się do jego osoby, jego życia i jego heroizmu, na który dzięki Bożej łasce się odważył. To dla mnie ogromne wsparcie.

Owoce tej specyficznej więzi są liczne artykuły, a także książki, które Ksiądz Profesor napisał o tym niezwykłym kapłanie. Wśród nich jest między innymi najnowsze dzieło – „Męczeństwo i miłość”. Wróćmy jeszcze na chwilę do osoby księdza Piotra Bożyka. On od początku wiedział, że mały Alfons jest wyjątkowym chłopcem. Zauważył jego głęboką duchowość. Droga do kapłaństwa Księdza Profesora też rozwijała się pod skrzydłami księdza Piotra. To właśnie ten kapłan, oprócz rodzinnego domu, z którego wyrósł ksiądz Jerzy, miał niezwykle wpływ zarówno na jego kapłaństwo, jak i na całe przyszłe życie.

Warto jasno powiedzieć, że ksiądz Jerzy jest lub może być postacią fascynującą, zwłaszcza dla obecnego pokolenia, o władniętego ideologią postnowoczesną, gdzie religia oraz wartości konfesyjne zostały odsunięte na margines kultury i nie odgrywają istotnej roli w doświadczeniu egzystencjalnym wielu ludzi i, szerzej, społeczeństw, chociażby w Holandii czy Francji. Otóż żeby zrozumieć osobowość księdza Popiełuszki, trzeba postawić sobie następujące pytanie, i ja to pytanie wiele razy w różnych swoich publikacjach na jego temat stawiałem: Jakie czynniki spowodowały, że ten młody chłopak z podlaskiej wsi wyrósł na przewodnika wspólnoty polskiej, zwłaszcza

w czasach rozkwitu ruchu „Solidarność”? Z punktu widzenia społecznego nie odznaczał się przecież jakimiś specjalnymi zdolnościami czy talentami. Co więc sprawiło, że – jak się zdarzało – wierni w Gdańsku nieśli go wokół kościoła niemal jak relikwię? Odpowiedź, przynajmniej w moim ujęciu, wiąże się z trzema perspektywami życiowymi. Po pierwsze, należy zwrócić uwagę na środowisko, w którym się urodził i kształtował. Było to otoczenie rodziny niebywale zaangażowanej w sprawy wiary. A działało się to w sytuacji szybkiej sowietyzacji Polski. Komuniści robili, co mogli, by ograniczać najskromniejsze nawet formy religijnego życia. Ale rodzice, tata Włodzimierz – człowiek spokojny, delikatny, oraz mama Marianna – osobowość, powiedziałbym, nieco ostrzejsza, trzymająca cały dom w ryzach, wychowywali dzieci w aurze pobożności, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Ci rodzice mieli niewiele. Ich ziemia nie wydawała wielkich plonów, bo była piątej czy szóstej klasy. Co zatem mogli ofiarować swoim dzieciom? Wiele razy rozmawiałem z panią Marianną i ona mówiła mi tak: „Proszę księdza, co mogłam, to dawałam moim dzieciom, mianowicie świadectwo wiary”. Dla nich odczuwalną namiastką niespotykanego gdzie indziej świata były wyjazdy do Suchowoli na uroczystości, święta kościelne, na procesje, na nabożeństwa majowe czy czerwcowe. To wszystko połączone było ze szlachetnym rozumieniem patriotyzmu, rozpoznawanego jako postawa niezłomnego świadectwa o własnej ojczyźnie, bronięcia jej w chwilach dziejowych zagrożeń, wypraszania u Boga i Matki Najświętszej koniecznej opieki z nieba. „Jesteśmy – pouczała swoje dzieci Marianna – wszak Polakami i nigdy swej polskości i swej katolickiej wiary nie powinniśmy się wstydzić, tym bardziej że pośród nas spotykamy wyznawców wielu innych niż nasza religia”.

Podlasie to miejsce krzyżowania się katolicyzmu, prawosławia, a także islamu.

W rejonach wschodnich tak właśnie było. A równocześnie mieszkańców tej części Polski potwornie gnębiły hordy zwolenników ideologii komunistycznej oraz Polacy, którzy opowiedzieli się za narzuconym przez Sowietów stylem sprawowania rządów. Mam na myśli zwłaszcza działania Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, ORMÓ, której członkowie siali w tamtych czasach strach, podsycali potrzebę donosicielstwa i służalstwa. Co tu ukrywać, w takich trudnych warunkach wzrastał młody Alfons. Na szczęście, jak wspomniałem, na kształt jego duchowości silnie oddziaływały tradycje rodzinne i patriotyczne. To była podstawowa przestrzeń, w której się rozwijał. Drugą stanowiła – jak ją nazywam, przekształcając nieco termin Ryszarda Legutki – kultura przykościelna.

Co to znaczy?

Mam na myśli pewien proces dokonujący się dzięki duszpasterstwu kościelnemu. Mianowicie w latach powojennych księża, chcąc uchronić młodzież od popadnięcia w miraże „ateistycznego raj”, starali się zaproponować jej takie miejsce wzrostu, gdzie panowały zupełnie odmienne sposoby pojmowania historii czy powinności wynikających z obecności we wspólnocie społecznej. To była sytuacja nieporównywalna do żadnej sytuacji polityczno-społecznej w ościennych krajach Europy. Polski Kościół w latach komunizmu i tak zwanego socjalizmu wytworzył w Polsce pewien typ kultury, którą właśnie nazywam kulturą przykościelną. Chodzi o rozumienie człowieka i świata poprzez związek z Ewangelią i wiarą w Chrystusa, Boga i człowieka. Ówczesni księża, także ksiądz Bożyk, przedstawiali młodzieży alternatywny wobec komunistycznego

sposób życia, w którym nie ma marszów pierwszomajowych, nie ma Bieruta ani Stalina. Jest natomiast przekonanie, że Polacy mają prawo być ludźmi wierzącymi i że Polsce przynależy tysiącletnia tradycja chrześcijaństwa, i żadni komuniści ani sowieccy przywódcy nie mogą im tej ciągłości odebrać ani zniweczyć religijnego etosu bycia.

Chodziło o możliwość budowania tożsamości opartej na słowie Boga, którą – zgodnie z partyjnymi projektami – chciano z każdego człowieka wyrugować.

Naturalnie. Jak to zgrabnie określił ksiądz profesor Janusz Stanisław Pasierb: „Oliwka rzymska wyrosła nad Wisłą, więc Polska stała się narodem chrześcijańskim i ważną częścią europejskiej Christianitas”. W związku z tym księża otaczali opieką ówczesną młodzież i chronili ją przed zakusami wyznawców komunistycznego światopoglądu. Tuż przed maturą Alfonsa Popiełuszkę zachęcano, wręcz nagabywano, by wstąpił do partii albo żeby pojechał na studia do Moskwy. Nieustannie agitowano szerokie rzesze młodzieży, żeby je zagarnąć dla siebie i skierować w stronę nowej wizji człowieka, jaką deklarowali komuniści. Z tej racji Popiełuszko nie miał łatwego życia, zwłaszcza że był chłopakiem nieco wyciszonym, niejako oddalonym na kilka kroków od innych, co nie znaczy jednak, że był samotnikiem. Dość szybko bowiem zdał sobie sprawę, że jego marzenia wykraczają poza obszar ojcowizny. Myślał sobie: „Muszę coś zrobić, żeby moje życie nabrało pełnego sensu”. Wtedy jeszcze nie potrafił sprecyzować dokładnie swoich planów, jednak ci, którzy znali go bliżej, mówili mi, że już wtedy sądzili, że z Popiełuszki „wyrośnie albo godna szacunku osoba, albo nic z niego nie będzie”.

Czy to znaczy, że bił od niego pewnego rodzaju radykalizm życiowy? Miał bardzo silną osobowość?

Myślę, że chodzi raczej o ukrytą odwagę, która później uobecniła się na zewnątrz. Ale nastąpiło to dopiero w czasach, kiedy został księdzem, właściwie gdy wyznaczono mu funkcję rezydenta w kościele pod wezwaniem Świętego Stanisława Kostki na Żoliborzu.

Wymienił Ksiądz Profesor dwa czynniki, które miały wpływ na barwy osobowości księdza Jerzego, czyli rodzinę i kulturę przykościelną. A jaki jest ten trzeci komponent?

Trudno to właściwie wyrazić, gdyż myślę o delikatnej pracy Ducha Świętego, który – jak przyjmujemy w podstawie wiary – sprawił, że ten, wydawało się dosyć nieporadny życiowo, chłopak z podlaskiej wsi zaczął budować samego siebie jako kogoś, kto w przyszłości podejmie trud przewodnictwa polskiej wspólnocie religijnej i odda się Chrystusowi aż po heroizm męczeńskiej śmierci. Te trzy wypowiedziane przeze mnie perspektywy spowodowały, że z tego na pozór zwyczajnego chłopaka wyrosła osoba mężna, bohaterska. Przypomnijmy, że podczas swej męczeńskiej drogi, dręczony i niemiłosiernie bity przez oprawców, wyznał niezłomną wiarę w Chrystusa, w ten sposób niejako powtarzając Jezusowy czyn, ukazując całemu światu zbawcze znaczenie kenozę Chrystusa. Na tym w istocie polega prawdziwy akt chrześcijańskiego męczeństwa. Rozważając te wyjątkowo doniosłe, ale i jakoś nieuchwytnie sprawy, pamiętajmy, że ksiądz Jerzy nie zakładał, że poświęci życie w imię Chrystusa. On nie poszukiwał męczeństwa, ale kiedy przyszło, przyjął je z dzielnością i pokorą, co nie jest rzeczą zwyczajną.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Suchowoli. Przeczytałam, że w ciągu czterdziestu lat było stamtąd aż trzydzieści siedem powołań

kapłańskich. To pokazuje, jak silna jest tam wiara i tożsamość chrześcijańska.

Ten społeczno-religijny fenomen ma naturalnie związek z kulturą przykościelną, o której mówiliśmy. Można ją porównać w pewnym sensie do tak zwanej kultury niezależnej, podziemnej, rozkwitłej w Polsce szczególnie w czasie stanu wojennego. Było to coś podobnego, ale oczywiście innego. Mówimy tu o modelu życia, który przeciwstawiał się temu wszystkiemu, co propagowali komuniści, modelu ukazującym odmienną wizję istnienia, w której młody człowiek nie zatracił własnego człowieczeństwa, co więcej, rozumiał, co to znaczy być człowiekiem. Potrafił już nie podporządkowywać się narzuconej ideologii, tylko rozwijać swoje możliwości twórcze w duchu Ewangelii. Zasługi księży i tworzonych przez nich duszpasterstw, które ogarniały całą Polskę, do tego się zasadniczo sprowadzają.

W latach osiemdziesiątych bardzo popularny okazał się ruch młodzieżowy zainicjowany przez księdza Franciszka Blachnickiego, czyli oazy.

Na przykład. Właśnie z dynamiki kultury przykościelnej wyrosły później różne gałęzie, na których mocowały się wszystkie wartości ewangeliczne. Kościół w tej kwestii odegrał trudną do przecenienia rolę. Fundamentalną. Ksiądz Popiełuszko, wzbogacony doświadczeniem płynącym z kręgu kultury przykościelnej, mógł przyjąć wzór kapłańskiej obecności wśród ludzi, jaki dostrzegł u kardynała Stefana Wyszyńskiego czy też papieża Jana Pawła II. Ale źródła takich jego wyborów tkwią w Suchowoli. Warto może więc dopowiedzieć, że na ówczesnej mapie Polski Suchowola, wielokulturowa wieś królewska, była ważnym miejscem życia społecznego i politycznego. Leżała na przecięciu różnych szlaków kulturowych Wschodu i Zachodu.

Odbływały się tam, sławne nie tylko w najbliższej okolicy, targi, zwłaszcza koni. Alfons Popiełuszko nieraz w nich uczestniczył. To były, można powiedzieć, takie wydarzenia kulturalne tamtejszego świata. A poza tym w małej Suchowoli, nie wyłączając lat powojennych, wypracowano pewien model kultury oferujący mieszkańcom uczestnictwo w różnego typu organizacjach społecznych i kulturalnych – amatorskim teatrze, orkiestrze dętej, kole gospodyń wiejskich i tak dalej. Sam Alfons Popiełuszko jako uczeń tamtejszego liceum bardzo ciekawił się fotografią. Przynależał do szkolnego kółka fotograficznego, interesował się najróżniejszymi gadżetami technicznymi, czytywał pisma religijne i historyczne.

Czyli od najmłodszych lat był ciekaw świata. Gdy był już księdzem, pojechał do rodziny do Stanów Zjednoczonych i bardzo mu się tam podobało.

Tak. W tamtych czasach Polska właściwie znajdowała się w ruinie. Wcale nie dziwi, że zaraz po drugiej wojnie światowej w latach pięćdziesiątych nie każde domostwo mogło poszczycić się najprostszym radiem. Ale Popiełuszkę bardzo te techniczne sprawy intrygowały. Później, kiedy był już wikariuszem w podwarszawskich parafiach, też go to pasjonowało. Lubił również muzykę, zwłaszcza poetyckie pieśni Marka Grechuty. Co jakiś czas spraszał ministrantów swojej parafii na plebanię i słuchał z nimi wspomnianych utworów.

Do seminarium nie wybrał się do Białegostoku, ale do Warszawy. Dlaczego?

Wydaje mi się, że Alfons Popiełuszko działał trochę w sposób intuicyjny. Rozumiem, że chciał opuścić rodzinne strony, gnany jakimś nieznanym powiewem, smakiem jakiejś migocącej w oddali tajemnicy. Nie rozpoznawał jej odcieni, wiedział



jednak, że go pociąga. Coś wiem o takiej tęsknocie, bo ze mną było podobnie. Też nie chciałem pozostawać na stałe w wasilkowskich stronach.

Pociągał Was wielki świat...

Jerzy miał bodaj na uwadze postać prymasa Wyszyńskiego, jak też ojca Maksymiliana Kolbego. Chciał być blisko Niepokalanowa. Pragnął wyruszyć w świat i zrobił to zaraz po maturze. Proszę sobie wyobrazić, jaki to był dla niego trudny moment. Oto po raz pierwszy w życiu wsiadł do pociągu, przyjechał do Warszawy i zobaczył miasto, stolicę ojczyzny. Tak sobie wyobrażam, że kiedy wszedł do budynku seminarium duchownego przy Krakowskim Przedmieściu, zobaczył przed sobą ciemny długi korytarz, a na ścianach obrazy polskich biskupów, prymasów, to musiał być tym wszystkim najwyczajniej oszołomiony! I chyba wtedy nie przeczuwał, że będzie musiał wznieść się na szczyty swych naturalnych możliwości, by móc dorównać wymaganiom stawianym alumnom przez seminaryjnych profesorów i wychowawców, tym bardziej że wówczas nie dosyć sprawnie posługiwał się językiem polskim.

Mówił z silnym akcentem wschodnim.

Właśnie. A warszawskie seminarium stało na bardzo wysokim poziomie intelektualnym. Wymagano od studentów, żeby porządnie się uczyli. Alfons Popiełuszko musiał podjąć wiele wysiłku, żeby dopasować się do tych nowych warunków, zarówno naukowych, jak i duchowych. Przeczuwał jednakowoż, iż droga życiowa księdza – każdego człowieka – wyznaczana jest przez spotkania z ludźmi. Przez doświadczenie, które wpływa z owych przywiązań. Ważne jest, że ktoś podaje nam rękę i mówi: idź tam, a nie tu, bo tamta droga będzie dla ciebie najlepsza. I tak właśnie było z księdzem Popiełuszką.

Jednocześnie jego mama, pani Marianna Popiełuszko, powtarzała synowi: „Wysłuchaj zawsze tego, co mówią ludzie, ale zrób tak, jak mówi ci twój głos w tobie”. To sprawiło, że pomimo tego oszołomienia Warszawą odczuwał w sobie przemożny wewnętrzny głos, który dawał mu rozeznanie, jaką drogę wybrać.

Jego matka Marianna była niepoślednią osobą. Dostrzegła w swoim synu od razu kogoś, kto pójdzie niezwykłym egzystencjalnym szlakiem.

Podobno zawierzyła go Bogu, kiedy tylko dowiedziała się, że zostanie matką.

Był to akt głęboko zakorzeniony w tradycjach religijnych mieszkańców Podlasia. Dlatego dostał na chrzcie imię Alfons, co wiązało się ze sprawami patriotycznej pamięci rodzinnej i z pewnymi postaciami kultury kościelnej. Poza tym, mimo że Marianna nie skończyła żadnych wyższych szkół, nabyła znacznej mądrości życiowej; wiedziała, jak ma postępować w najbardziej trudnych chwilach życia. Wiedziała, co to znaczy chrzest i co dzieje się z człowiekiem, kiedy ten sakrament go owładnie.

Była bardzo świadomą chrześcijanką.

Orientowała się, że mamy w sobie władzę, którą nazywamy sumieniem. W jego świetle podejmujemy ostateczne decyzje powiązane z prawem naturalnym, to jest dziesięcioma przykazaniami. Z tym wszystkim, co sprawia, że jesteśmy ludźmi. To, o czym teraz mówimy, miało wpływ na kształt życia i duchowości księdza Jerzego. Tylko zawsze trzeba być w tych sprawach ostrożnym. Trudno przecież wejść do wnętrza innego człowieka. Nie wiemy, co naprawdę kłębiło się w sercu i umyśle księdza Jerzego. Możemy domniemywać na podstawie jego zachowania, gestów, wypowiedzianych słów. Tego, co mówił, co zapisał w pozostawionych przez siebie kajetach, co zawarł

w wygłaszanych kazaniach. Na podstawie tych śladów wnosimy o jego postawie, jego sposobie życia i stylu zachowania wobec ludzi i Boga.

Ksiądz Popiełuszko zawsze działał, a dopiero potem na tej podstawie tworzył homilie. Czyli najpierw praktyka, a następnie teoria. Swoje nauczanie budował na tym, jak żył i co działo się wokół niego.

Przypuszczam, że to modelowy przykład zachowania i działania polskiego księdza. Kazań nie pisze się z teorii. Nawet jeżeli czerpiemy jakieś elementy z literatury czy z teorii pastoralnej, zawsze wnosimy w swoje wypowiedzi osobiste doświadczenie, realne przeżycia. Gdyby się bowiem okazywało, że treści głoszone z ambony nie wpływają na kapłański sposób życia i z niego nie czerpią, to właściwie nie miałyby one żadnego znaczenia. To zresztą łatwo zaobserwować, kiedy słowa homilii wypływają z wewnętrznego doświadczenia księdza, a kiedy są tylko refleksem wyuczonej doktryny. Ksiądz Popiełuszko, jak każdy ksiądz, czytał, rozmawiał z ludźmi, czasami o coś się dopytywał, ale zwracał szczególną uwagę na wydarzenia teraźniejszości. Dopiero gdy spostrzegł, co dzieje się z Polakami w czasach wzmożonego ucisku, co dzieje się z polską wiarą, natychmiast pojął, że należy przeciwstawiać się temu straszliwemu złu. Najpierw poprzez odpowiednie poznanie, czyli zrozumienie autentycznej historii Polski, nie zaś tej kreowanej w mediach publicznych. Po drugie, trzeba było dobrze wczytać się w społeczną naukę Kościoła. Jak człowiek, ksiądz, powinien zachować się wobec dokonujących się wydarzeń społeczno-politycznych? Co zrobić, żeby znieść to ideologiczne poddaństwo? Żyć w wolnej, demokratycznej Polsce? I oczywiście tu był wielki problem, jak w takich warunkach ma zachowywać się kapłan, żeby nie być posądzony o to, że wtrąca się w sprawy polityczne. Że działa jak polityk.

Myszę, że to pytanie jest aktualne...

Na szczęście ksiądz Popiełuszko przez całe swoje życie, co zresztą powtarzał wiele razy w wywiadach, pisał też o tym, że jego aktywność ma charakter duszpasterski, a nie polityczny. Polityczny w tym ewentualnie tylko znaczeniu, że każda ludzka działalność w społeczności ma w jakimś sensie charakter polityczny, o ile jest, jak mówią dokumenty Kościoła, troską o dobro wspólne. Nawet gdyby ksiądz Popiełuszko wyszedł na ambonę i milczał przez pięć minut, to też mogłoby być uznane za akt ściśle polityczny. W związku z tym razem z badaczami i historykami, przygotowującymi materiały do jego beatyfikacji, mieliśmy jedno wielkie zadanie – wykazać, że ksiądz Popiełuszko w żadnym wymiarze nie był politykiem i że został umęczony za wiarę przez ludzi owładniętych nienawiścią do Kościoła, do tych Polaków, którzy pokładają nadzieję w Chrystusie. Został zabity nie dlatego, że z jakichś powodów był niewygodny, choć oczywiście tak było. Był ofiarą agresji zwolenników całego systemu, który podporządkowywał Polskę ideologii mającej prowadzić do komunistycznego raję, mimo że droga do osiągnięcia tego utopijnego celu była usłana milionami zamordowanych istnień.

Jednocześnie w tym zniewolonym kraju, gdzie wrogów nie brakowało, ksiądz Jerzy bardzo ufał ludziom. Był w tych relacjach naiwny niemal jak dziecko. Pisał o tym Ksiądz Profesor w swojej książce „Tama”, poświęconej księdzu Jerzemu.

To, przyznając, było dość zaskakujące. Bezgranicznie ufał ludziom. Pozornie wydaje się, że to jest dobra cecha. Nigdy bym nie wsiadł do autobusu, gdybym nie ufał kierowcy, że dowiezie mnie do wybranego przeze mnie miejsca. Jednak w czasach stanu wojennego i później w środowisku na Żoliborzu pojawiali się różnego rodzaju agenci i donosiciele. Ksiądz Popiełuszko

przygarniał wszystkich, mimo licznych ostrzeżeń, żeby uważał. Prowadziło to oczywiście do wielu niebezpieczeństw. Mówiono mu: „Słuchaj, masz wokół siebie ludzi, którzy piszą donosy spływające potem na biurko generała Jaruzelskiego i Kiszczaka”. On na to jednak nie reagował. Był człowiekiem chyba za bardzo ufnym. Nie miał w sobie cienia ostrożności, która chroniłaby go przed różnego rodzaju atakami. Może czułby się bardziej spokojny i bezpieczny, gdyby nie ta całkowita otwartość. No, ale cóż... Taki po prostu był.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, w którym został zamordowany ksiądz Jerzy, Ksiądz Profesor przyjął święcenia kapłańskie. Ostatni raz spotkaliście się miesiąc przed porwaniem księdza Jerzego...

Umarł wtedy jeden z naszych wspólnych znajomych i pojechaliśmy na pogrzeb, z którego razem wracaliśmy do Warszawy. Pamiętam, że zapytałem wtedy Jurka: „Słuchaj, czy ty się nie boisz, że mogą cię zamordować? Widzę, że różne o tobie w prasie informacje podają, właściwie nieprawdziwe i dziwne”. Odpowiedział: „No wiesz... Oczywiście, że się boję. Wiem, że mogą zabić. Ale ja z tej drogi, na którą wstąpiłem, nie mogę już zejść, ponieważ ludzie mi ufają i ja tej ufności nie mogę zawieść”. Potem, kiedy myślałem o tej rozmowie, to dotarło do mnie, że on bardzo chciał świadczyć o tym, w co wierzył. To było istotą jego kapłaństwa czy też duszpasterstwa. Łaknął być świadkiem prawdy. Mimo że jej dookoła nie było, on chciał o niej świadczyć.

Co mu Ksiądz Profesor odpowiedział?

Byłem wtedy taki młody, więc chciałem go pocieszyć: „Ach, nie martw się. Oni nic ci nie zrobią”. I wtedy on posmutniał. Powiedział: „Nie wiem, jak będzie, ale ja muszę być zgodny

z tym, kim jestem i jaką drogę w życiu wybrałem. Nie mogę jej przeniżyć opuszczyć. Nawet za najwyższą cenę”.

Ksiądz Profesor nie wiedział przecież o wszystkim, co działo się wtedy wokół.

Pewnie, że nie. Mało kto o tym wiedział, poza najbliższą garstką ludzi, którzy byli wtedy na Żoliborzu. Bo na Żoliborzu powstała wówczas taka mikrospołeczność, próbująca żyć tak, jakby Polska była wolna. Ksiądz Popiełuszko też tak się zachowywał – jakby żył w wolnej Polsce. Chociaż wiedział, że jest inaczej. Uważał, że nie jest pod tym względem nikim wyjątkowym. Swoją działalnością, pełnią duszpasterstwa wpiisywał się w wielki ciąg polskich męczenników, począwszy od biskupa Stanisława ze Szczepanowa, czyli od początku Polski, aż do dzisiaj. Przynależał do ewangelicznego kręgu tych wierzących, zwłaszcza męczenników, którym zależało na tym, żeby Polska nie straciła swojej chrześcijańskiej tożsamości. I dzisiaj, z perspektywy czasu, trzeba na aktywność księdza Popiełuszki właśnie w ten sposób patrzeć. Uważam, że jest to najistotniejszy aspekt, dzięki któremu możemy uchwycić jego motywację do działania, jego sposób i styl egzystencji.

Tym bardziej że był również prekursorem duszpasterstwa robotników. Wcześniej czegoś takiego w Kościele nie było.

Potwierdzam, że społeczna nauka Kościoła nie była wówczas nazbyt rozwinięta, a przynajmniej księży nie mieli łatwego do niej dostępu. Kiedy po raz pierwszy ksiądz Popiełuszko zjawił się wśród robotników, to właściwie odczuwał dojmującą bezradność. Ręce miał puste, poza tymi podstawowymi środkami, jakimi dysponuje kapłan, czyli Eucharystią, modlitwą, sakramentami świętymi, szczególnie sakramentem pokuty. Jak z tym dotrzeć do świadomości robotników? Jak sprawić,

żeby wśród strajkujących uzasadnić obecność Mszy Świętej? Jaką rolę odgrywać ma w tym wszystkim ksiądz? Nie było rady, żoliborski rezydent musiał na własnej skórze doświadczyć ciężaru tej niespodzianej sytuacji duszpasterskiej, a potem ją zrozumieć i wypowiedzieć. Nie było to łatwe, ale z pomocą Ducha Świętego podolał temu historycznemu zadaniu.

Gdzie szukał odpowiedzi na te pytania?

Zaczął otaczać się literaturą. Więcej czytał. Spotykał się z ludźmi. To wszystko sprawiło, że zaczął coraz lepiej rozumieć swoje miejsce w tamtej społeczności i w ówczesnej sytuacji społeczno-politycznej. W październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku za sprawą księdza prałata Teofila Boguckiego zaczął odprawiać Msze Święte za ojczyznę i za tych, którzy dla niej cierpią. Podczas tych liturgii wiara, kultura i w pewnym stopniu polityka jednoczyły się ze sobą w najważniejszym celu – żeby wiara była wiarą zachowaną i autentyczną. Dzięki temu żoliborska wspólnota stała się wolna od różnego rodzaju nacisków i tego wszystkiego, co niosła ze sobą ideologia komunistyczna. W związku z tym należy powiedzieć, że w tamtym czasie Żoliborz był zarzewiem, dzięki któremu Polska stawała się coraz wyraźniej wolnym krajem.

Ale ceną było to, że ksiądz Jerzy dotychczas do poprzedzających go w historii męczenników.

On w tym szeregu stoi, a zarazem wieńczy cały okres dziejowy, kiedy Polska dobijała się do niepodległości. Jest ostatnim męczennikiem do momentu jej odzyskania. Dzięki takim ludziom jak on Kościół w ogóle przetrwał. Dzisiaj żyjemy w świecie, w którym, niestety, znowu chrześcijanie są męczeni, zabijani, mordowani. W różnych krajach Europy i świata. Jest teraz więcej ofiar niż w czasach pierwotnego Kościoła. Dlatego

musimy się troszczyć, na ile to możliwe, o to, by światowe media reagowały na te potworne wydarzenia. Chrześcijanie naprawdę cierpią, są prześladowani i osaczeni nienawiścią. Z naszej polskiej perspektywy niewiele jesteśmy w stanie zrobić, poza życiem godnym Jezusowego wzoru. Chrześcijaństwo trwa z głęboką świadomością, że męczeństwo zostało wpisane w jego krwiobieg. I chociaż nie propaguje ono męczeństwa, to jednak włącza je w siebie jako posiew świętości i łaski. Bo co właściwie jest mocniejsze od oddania swojego życia w imię kogoś, kogo kochamy? Tak jak uczynił to Jezus? Nic.

I to właśnie dzieje się we współczesnym świecie... Proszę powiedzieć, jak Ksiądz Profesor myśli, czy można było uratować księdza Jerzego? Czy był to jednak Boży plan, zgodnie ze słowami „wypełniło się”, które tak dobrze znamy.

Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. W dwutysięcznym roku podczas mszy na placu Teatralnym w Warszawie prymas Józef Glemp przyznał, że odczuwał winę, że nie uratował księdza Popiełuszki.

Mówił: „Ani moje starania, ani arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego nie przynosiły skutków. Przesunięcie księdza Jerzego poza Warszawę, do Rzymu, mogło uspokoić środowisko przy kościele Świętego Stanisława Kostki, gdyż każdy następca księdza Jerzego nie zdołałby przyciągnąć tłumów – to było dzieło charyzmatu księdza Jerzego. Nie mogłem jednak nakazać księdzu Jerzemu wyjazdu poza Warszawę, gdyż to byłoby odczytane jako kolaboracja z władzą i usunięcie niewygodnego kapłana na polecenie władzy”. Jak widać, prymas Glemp bardzo to przeżywał.

Plany Boże mogą być odczytane z wydarzeń, które zaistniały. Przedtem trudno coś wnioskować. Z tego, co się stało, jeśli chodzi o życie i aktywność księdza Jerzego, wynika, że była to jakaś przedziwna, tajemnicza realizacja Bożych zamiarów. Ale nigdy nie będziemy tego pewni, ponieważ – powtarzam – wnosimy

to tylko z jego życiowej aktywności. Ale wydaje się – świadczą o tym wydarzenia ewangeliczne i teksty święte – że Bóg wybiera pewnych ludzi do spełnienia określonych zadań w historii zbawienia, historii przenikniętej ideą miłosierdzia, przebaczenia i zmartwychwstania, przez co zapewnia tym, którzy tego będą chcieli, życie wieczne.

Czy pamięta Ksiądz Profesor moment, kiedy dowiedział się, że ksiądz Jerzy został porwany?

Przypominam sobie księdza Jana Sikorskiego, który dramatycznie opowiadał o tym w kościele podczas liturgii, bo wtedy msze odbywały się niemal jedna po drugiej. Pamiętam ten czas... To było tuż po wakacjach. Pomyślałem sobie: „A jednak spełniło się to, co przeczuwaliśmy”. W tym wszystkim byliśmy trochę lekkomyślni. Także i ja. Dzisiaj to widzę dokładnie, kiedy przywołuję swoją ostatnią z Jurkiem rozmowę. W tamtym czasie nas, kleryków, nikt bezpośrednio nie atakował. Raz, pamiętam, wyszedłem z seminarium. Szedłem ulicą Miodową. Nagle znalazłem się wśród wielkiego tłumu. Podbiegł do mnie jakiś milicjant z pałką i próbował mnie uderzyć. Nagle jakiś człowiek bardzo mocno szarpnął mnie za rękę i... pociągnął za figurę lwa, która znajduje się przy jednym z budynków. Milicjant bił w szale tego lwa, a ja leżałem obok i dzięki temu niewiele tych ciosów otrzymałem. Nawet jeśli odczuwaliśmy w jakiś sposób ciężar tego wszystkiego, co się wtedy działo, to w stosunku do księdza Popiełuszki byliśmy beztroscy, krótkowzroczni. Niezbyt poważnie go traktowaliśmy. Trzeba to uczciwie i pokornie powiedzieć. Z biegiem czasu jednak to się zmieniało.

To był czas, kiedy media podawały mnóstwo kłamliwych informacji. Trudno było zorientować się, co jest prawdą.

Nawet urzędnicy Kurii Warszawskiej nie bardzo wiedzieli, co się dzieje. A co miał powiedzieć taki młody seminarzysta jak ja, który, choć miał już sporo lat, nie ogarniał rozgrywających się wydarzeń w ich politycznej i religijnej istocie? Nawet dzisiaj, z perspektywy czasu, trudno o tym opowiadać. Bo to przecież były ogromne emocje, a one są nieweryfikowalne. Niełatwo je opisać.

Kiedy w kościele na Żoliborzu ogłoszono śmierć księdza Jerzego, zgromadzeni tam ludzie zaczęli krzyknąć: „Przebaczymy”. To, co ksiądz Jerzy zaszczerpił w ich sercach – „zło dobrem zwyciężaj” – przyniosło owoce w najtrudniejszym momencie, mimo że były poważne powody, żeby eksplodować wściekłością.

Trzeba się z tym rozpoznaniem oczywiście zgodzić, chociaż przebaczenie przychodziło ludziom z trudem i nie należy się temu dziwić. Ale rzeczywiście, można powiedzieć, że ksiądz Popiełuszko zaszczerpił w wiernych ewangeliczne myślenie. Jednak bywało też inaczej. W późniejszych latach w ramach procesu beatyfikacyjnego rozmawiałem z zabójcami księdza Popiełuszki, żeby dowiedzieć się, czy podczas drogi męczeńskiej nie prosił o darowanie życia, bo, jak mówią prawnicy, jeśli prosił, nastąpiłoby zerwanie procesu beatyfikacyjnego w zarodku. Pracowałem wtedy jako rezydent na Saskiej Kępie, uczyłem w Akademii Teologii Katolickiej, przedtem zamieszkując na Żoliborzu, w pokoju, który zajmował ksiądz Jerzy. Na jednej z mszy powiedziałem o swoich spotkaniach z jego zabójcami: „Wydaje się, że pan Piotrowski trochę zmienia się pod wpływem tych rozmów. Kto wie, może się nawrócił?”. Gdy padły te słowa, obecni w świątyni dosłownie zafalowali jak wzburzony ocean. Głośno sprzeciwili się temu, co powiedziałem. Gdy skończyła się liturgia, to myślałem, że mnie w zakrystii rozniosą. Krzyczeli: „Zabić mordercę!”, „Nie ma

co przebaczać!” i tak dalej. Zatem różne były w tym względzie doświadczenia i wypadki.

Rana była wciąż otwarta...

I nie trzeba się temu dziwić. Niemniej jednak każdy człowiek, dopóki żyje, może się przemienić. Nie jest jak skała leżąca przy drodze. Jest żywą osobą, a żywa osoba to ktoś, kto pod wpływem własnego sumienia, spotkań z ludźmi, osobistych doświadczeń, zdarzeń zewnętrznego świata, ma szansę na zmianę, na bycie lepszym człowiekiem, odpokutowanie za swoje nawet najbardziej złowrogie czyny. To również dotyczy morderców księdza Popiełuszki. Trzeba zawsze o tym pamiętać, oczywiście rozumiejąc, że sprawiedliwość musi zostać wypełniona.

Tym bardziej że podstawą nauczania księdza Jerzego nie było szufladkowanie ludzi. On wychodził do funkcjonariuszy pilnujących go przed domem, częstował herbatą, a w Wigilię podczas stanu wojennego wyszedł do żołnierzy, żeby podzielić się z nimi opłatkiem. Różne były ich reakcje. Jedni płakali, inni go odrzucali... Wróćmy do października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Wkrótce po śmierci księdza Jerzego w Parafii pod Wezwaniem Stanisława Kostki na Żoliborzu zebrano świadectwa ponad sześciuset cudownych uzdrowień fizycznych. Od początku wszyscy ci, którzy znali księdza, uważali, że jest męczennikiem Kościoła, czyli świętym. Zastanawia mnie kwestia tych uzdrowień. Podobno mama księdza Jerzego nigdy o nic go nie prosiła, ale raz bolało ją kolano i poprosiła, żeby je uleczył. I kolano przestało boleć.

Wie pani, ona nigdy do swego syna nie mówiła „Jurku”, tylko „księżu Jerzy”, taką miała matczyną formułę... Trzeba powiedzieć, że kult, który zaczął się rozwijać po jego męczeńskiej śmierci, od razu przybrał niebotyczny wymiar. Nie ma chyba takiego miejsca na świecie, gdzie nie słyszano o księdzu Popiełuszce. Liczba pomników, kościołów, znaków pamięci

jest wręcz niepoliczalna. Kilka lat temu byłem w Szwajcarii, w górskiej miejscowości w Alpach. Zobaczyłem mały kościółek i pomyślałem: „Wejdę, troszkę się pomodłę”. Na ołtarzu paliła się lampka. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem leżący obok niej obrazek z wizerunkiem księdza Popiełuszki. Aż zadrżałem z przejęcia. Pomyślałem, że rozszerza się krąg jego kultu. Do tego dochodzą różnego rodzaju fizyczne znaki świadczące o tym, że między Bogiem a światem istnieje realna więź. My, katolicy, tak przyzwyczajamy się do swojego sposobu i stylu życia, że na co dzień nie myślimy o tym, że otacza nas światło nieustannego cudu. Że oto Bóg jest z nami w liturgii, w sakramentach świętych, w modlitwie. Prawdziwie, autentycznie. Nie jest to jakiś symbol, zastępczy znak czy coś tam jeszcze, ale prawdziwy, realny Bóg, którego co prawda nie widzimy, ale możemy go spotkać w tych duchowych przestrzeniach. Dlaczego? Bo On tak nam powiedział, a Jego słowo jest słowem prawdziwym. Bóg nie może nas oszukać, bo gdyby tak uczynił, to byłoby sprzeczne z Jego istotą. Skoro sobie uświadomimy, że istnieje prawdziwa ontyczna więź między nieuchwytnym Bogiem a nami, to wtedy ręce powinny nam się trząść, powinniśmy paść na kolana, drzeć, a równocześnie dawać znaki uwielbienia. Dlatego też filozofowie często powtarzają, że w doświadczeniu religijnym dostępujemy dwóch skrajnych przeżyć: *misterium tremendum*, niepokoju, jakiegoś trudu, a jednocześnie zdziwienia, nawet bojaźni, a równocześnie *misterium fascinatum* – aktu uwielbienia, radości, że spotykamy się z czymś absolutnym, co przekracza nasze ludzkie wymiary, ale co realnie wpływa na nasz sposób działania i postępowania. To jest bardzo ważne. Ksiądz Popiełuszko jest właśnie takim znakiem, który pokazuje, że więź człowieka z Bogiem jest prawdziwa, realna. To nie jest coś, co dzieje się poza naszymi możliwościami rozpoznania, to nie jest jedynie wyobrażenie

sobie tych relacji. Cuda, które dzieją się za pośrednictwem księdza Jerzego i innych świętych, są faktem. Niewątpliwie w Kościele i wśród ludzi trwa dyskusja, co to w istocie znaczy – ów cud. Ale rzeczywistość pokazuje, że modląc się do księdza Jerzego, ludzie uzyskują za jego pośrednictwem dary Boże. Są to dary natury duchowej, ale także kauzalnej, fizycznej.

To one liczą się w procesach beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych...

W rozumieniu Kościoła są niezbędne, gdy chodzi o sam proces kanonizacji. Jeżeli nie ma męczeństwa, to wtedy muszą być znaki potwierdzające heroizm działania osoby, którą chce się wynieść na ołtarze. W przypadku księdza Jerzego właśnie taki cud nastąpił i w związku z tym teraz jesteśmy na etapie oczekiwania na kanonizację naszego męczennika. Oczywiście to zależy wyłącznie od decyzji obecnego papieża Franciszka. Ważne jest, że jeżeli tak się stanie i nastąpi kanonizacja, wówczas osoba i dzieło życiowe księdza Popiełuszki zyskają uniwersalny wydźwięk. Staną się własnością Kościoła powszechnego.

Ksiądz Jerzy na swoim prymicyjnym obrazku napisał: „Posyła mnie Bóg, abym głosił Ewangelię i leczył rany zbolatych serc”. Można powiedzieć, że oddał się temu bez reszty. Ksiądz Profesor powiedział, że poznał księdza Jerzego właściwie dopiero po jego śmierci. Przynam, że sama przygotowując się do naszej rozmowy, mimo że wiele już o nim wiedziałam, dopiero teraz usłyszałam jego przestanie i zafascynowałam się postacią tego niezwykłego księdza.

Oczywiście, że tak jest, z tym że każdy z nas może mówić tylko z osobistego, prywatnego punktu widzenia. Między świętymi nie ma rywalizacji. Każdy z ich szedł swoją własną drogą świętości i dla wielu ludzi różni święci są ważni. Można powiedzieć, że określani święci są istotni dla poszczególnych ludzi z powodu ich odmiennych wrażliwości. Poza tym są różne duchowości. W Kościele nie ma jednej duchowości. Dlatego

odnosimy się do wielu świętych w swoim własnym doświadczeniu religijnym. Ksiądz Popiełuszko opowiedział się za Chrystusem aż po kres życia, przyjmując ościę męczeństwa na podobieństwo wielu męczenników, którzy stali się zasiewem Kościoła. Jezus pojawił się na ziemi jako Bóg i człowiek po to, żeby zbawić świat. I to jest właśnie najważniejsza sprawa, żeby człowiek, stworzony na Boży obraz i podobieństwo, podległy słabościom z racji swej ludzkiej, grzesznej natury, mógł powrócić do stanu szczęśliwości dzięki ofierze Jezusa. Żaden człowiek nie mógł czegoś takiego uczynić, ponieważ śmierć człowieka, choćby najbardziej tragiczna i dramatyczna, nie ma zbawczego charakteru. Mógł to uczynić tylko Bóg-człowiek i w związku z tym naśladowanie męczeństwa Jezusowego na Golgocie jest wyrazem spełnienia tego wszystkiego, co stanowi w istocie chrześcijaństwo oraz chrześcijańskie życie i świadectwo.

Jakim kapłanem byłby w dzisiejszych czasach ksiądz Jerzy? Czy można w ogóle postawić takie pytanie?

Zdarza się, że ludzie pytają, co uczyniłby ksiądz Jerzy, gdyby żył w naszych ponowoczesnych czasach. Jak reagowałby na to wszystko, co niesie liberalna wizja życia, co niosą procesy czy prądy sekularyzacyjne? Jak reagowałby na to dzisiejsze rozumienie człowieka, gdy podkreśla się jego całkowitą autonomię, wolność prowadzącą w praktyce aż do samowoli? Gdy ogranicza się, redukuje naukę chrześcijańską, ściślej: katolicką, do pewnych tylko aspektów, które odpowiadają poszczególnym osobom? Gdy właściwie traci się już zdolność dogmatycznego myślenia, gdy ludzie uważają, że do szczęścia nie jest im potrzebny żaden Kościół, organizacja? Mówią: Jezus – akceptuję, Kościół – nie akceptuję, jakby można było to oddzielić. W związku z tym pojawia się często pytanie: jak reagowałby na to wszystko ksiądz Popiełuszko? Co powiedziałby na temat

liberalnej wizji życia, kiedy chrześcijaństwo czy – w węższym zakresie – katolicyzm, jak mówiłem, zwłaszcza w państwach zachodnich, został właściwie zredukowany do nieistotnego marginesu? Ludzie przekonują, że mają swoją duchowość, ale do tego wcale nie jest im potrzebny Chrystus ani chrześcijaństwo, ponieważ każda religia daje jakieś poczucie spełnienia, uczucie duchowej satysfakcji czy też ekstatycznego uniesienia. W gruncie rzeczy może to być przeżycie związane z polityką, sztuką, erotyką... Uważa się, że cokolwiek, co daje człowiekowi jakieś szczytowe przeżycie, ma wymiar religijny. Myślę, że gdyby Jurek teraz żył, ściśle trzymałby się rdzenia Ewangelii. Głosiłby, tak jak czynią to czy powinni czynić wszyscy księża, czyste słowo ewangeliczne zakorzenione w prawie naturalnym i w nauczaniu Jezusa. Bo przecież być chrześcijaninem to znaczy, mówiąc najprościej, wierzyć Jezusowi Chrystusowi i realizować wartości, o których Jezus nauczał, a które sprowadzają się do rzeczywistości zwanej Królestwem Bożym, oznaczającym samego Jezusa. Królestwo Boże to po prostu jest życie z Jezusem Chrystusem, w świetle Jego niesamolubnej, czystej miłości. To jest taki styl egzystencji, w którym Jezus jest na pierwszym miejscu, co oznacza, że decyzje, które podejmujemy, wmontowujemy w rozeznaną wolę Bożą.

Ale jak tę wolę odczytać?

Zapoznajemy się z Pismem Świętym, w szczególności z Ewangelią, z Tradycją, a także z nauczaniem Kościoła. Wszystko to podpowiada nam, jak reagowałby Jezus na sytuacje, w których my teraz jesteśmy. Często są to bardzo trudne sprawy. Chcąc wyjść z nich obronną ręką, trzeba odwoływać się do tego, co nazywamy prawem naturalnym – tu podkreślam ważność sumienia – i do tego, co zostało zapisane w tekstach świętych. Dopiero w takiej perspektywie chrześcijanin

wypełnia swoje zadania. Myślę, że ksiądz Popiełuszko tak właśnie by czynił. A poza tym trzeba pamiętać o tym, by doceniać wartość uzasadnienia swojej wiary i religii. Zarówno Święty Paweł, jak i inni bardzo nas zachęcali, żebyśmy nie wierzyli na ślepo, ale odkrywali racjonalne podstawy wiary zgodnie z dawną, średniowieczną formułą *Fides quaerens intellectum* – „Wiara poszukująca zrozumienia”, jak to określał Święty Anzelm z Canterbury. Myślę, że również Jurek starałby się dawać świadectwo o swojej wierze. W dzisiejszych czasach – przedtem również, ale obecnie szczególnie – ważne jest opowiedzenie się po stronie Ewangelii. Żadne teoretyczne dywagacje, nawet najwyższej intelektualnej miary, nie przyprowadzą ludzi do Kościoła. One są oczywiście ważne, ale tak naprawdę liczy się

tylko świadectwo. Wiara wtedy ma znaczenie – świadomość tego faktu miał ksiądz Popiełuszko – kiedy wpływa na nasz sposób postępowania. Kiedy stale nas zmienia. Wiara, która by tego nie czyniła, byłaby pusto brzmiącym pieniążkiem, niewiele znaczącym. Oczywiście akceptacja dok-

tryny religijnej jest niezbędna, ale to zaledwie jeden element doświadczenia. Bo najważniejsze jest, że moje życie świadczy o tym, że jestem osobą religijną. Jest to także uwidocznione w moim sposobie życia, w moich relacjach z innymi ludźmi. Wiara ma przecież charakter społeczny. To nie tylko moja osobista kwestia. Ludzie mówią: „Ach, po co mi Kościół, ja się w górach modłę, w gęstym, tajemniczym lesie doświadczam duchowych przeżyć”. Ale wtedy nie jest się katolikiem. Katolikiem jest się wtedy, kiedy swoje życie wiąże się w miłości z Jezusem Chrystusem.

Żadne teoretyczne dywagacje, nawet najwyższej intelektualnej miary, nie przyprowadzą ludzi do Kościoła. One są oczywiście ważne, ale tak naprawdę liczy się tylko świadectwo. Wiara wtedy ma znaczenie – świadomość tego faktu miał ksiądz Popiełuszko – kiedy wpływa na nasz sposób postępowania. Kiedy stale nas zmienia.

*Kluczem do poznania Jezusa jest prawda. „Prawda was wyzwoli!”
Ale w dzisiejszych czasach mamy z nią spore problemy.*

Jeśli weźmiemy pod uwagę pisma zachowane po księdzu Popiełuszce, zauważymy, że jest kilka takich kluczowych słów w jego nauczaniu. Wśród nich: wolność, solidarność, wiara, patriotyzm, kultura chrześcijańska. Jednym z najważniejszych jest właśnie prawda. We wszystkich swoich kazaniach ksiądz Popiełuszko wyraźnie podkreślał, że życie pozbawione prawdy nie jest godne uwagi. Tradycja, historia Polski pozbawiona swego autentyzmu jest historią nieprawdziwą, splaszczoną, sfalszowaną i właściwie prowadzi niemalże do rozpacz. A cóż to jest prawda w tym ujęciu? To nie tylko zgodność naszego myślenia i wypowiedzania się z rzeczywistością; dla chrześcijan jest to sam Chrystus. W tym sensie to, co mówimy, czego nauczamy, co staramy się zrozumieć, jest uzgadnianie z Chrystusem, czyli z Prawdą. Ponieważ tylko w Jego obecności cząstkowe prawdy naszego doświadczenia zyskują uwiarygodnienie i mają określone racje. Dlatego dla księdza Popiełuszki kategoria prawdy była zasadnicza. Stała się podłożem czy też zasadą, na której można zbudować cały gmach chrześcijańskiej wiary. O tym trzeba nieustannie pamiętać, zwłaszcza dziś, kiedy świat tę kategorię prawdy wyrugował ze swojego pola widzenia.

Jak do tego doszło?

To wynik długich dziejowych przemian, jakie u schyłku europejskiego odrodzenia mocno naznaczyły kulturę, a także gwałtownie rozwijającej się nauki. Filozofowie, uczeni, myśliciele, pisarze, mający zauważalny wpływ na społeczną świadomość, zaczęli proponować takie ujęcie rzeczywistości, w którym prawda zostaje odrzucona na rzecz prawd cząstkowych, uzgadnianych w ramach określonych wspólnot. Jednak taka prawda trwa krótko. Po prostu ustalamy w pewnego

rodzaju narracjach społecznych, co uznajemy za prawdę, ale już jutro prawdą może okazać się coś innego, bo zmieniła się sytuacja, w której dochodzimy do konsensusu w danej kwestii. W związku z tym – powtarzam – prawda jest zaledwie czymś uzgadnianym. Nie odczytuje się jej z rzeczywistości, ale się ją wytwarza. Stąd jest tyle prawd, ile możliwości wypowiedzania ich przez ludzi bądź jakieś społeczne zbiorowiska. To oczywiście prowadzi do fatalnych konsekwencji: relatywizmu, wolności pojętej absolutystycznie, tolerancji rozumianej jako nieczułość na ludzi, bo tolerujemy wszystko, każdy punkt widzenia jest tak samo godny uwagi. Nie ma więc niczego, na co wszyscy mogą się zgodzić. Nie ma obiektywnego punktu widzenia ani prawd niezależnych od ludzkich możliwości poznawczych. To sprawia, że właściwie niczego nie można powiedzieć o świecie, niczego godnego uwagi nie można doświadczyć, wszystko ma charakter wyłącznie impresyjny, chwilowy i nie może obowiązywać wszystkich. A to właściwie oznacza, że obecny świat przypomina jaskinię, w której pomieszczeni są ludzie niemogący dojrzeć nic poza cieniami migoczącymi na ścianach. Słońce prawdy jest im niedostępne.

Jakie są możliwości wyjścia z tej sytuacji? Uważa Ksiądz Profesor, że jest szansa na odbudowę chrześcijaństwa czy raczej że ludzkość pogrąży się w chaosie, nadejdą czasy nihilizmu?

Nihilizm prowadzi do całkowitego unieruchomienia życia ludzkiego. Zanika wtedy normalna moc rozumu. Pozostają tylko instynkty ludzkie, a instynkty prowadzą do śmierci. Konsekwencją nihilizmu, jak nazwałby to Jan Paweł II, jest życie w cywilizacji śmierci. I my, mówiąc uczciwie, już jesteśmy na progu tej cywilizacji, kiedy kompletnie nie ceni się życia od chwili poczęcia aż do śmierci. Kiedy eutanazja jest czymś prawie naturalnym. Kiedy mówi się o tym, że od początku

trzeba dziecko wprowadzać w rozeznanie seksualizujące, bez zwrócenia uwagi, że potrzebna jest do tego mądrość życiowego doświadczenia. Być człowiekiem szczęśliwym – to znaczy realizować wszystkie swoje szanse, pragnienia i marzenia, bez względu na to, jakie przynoszą konsekwencje społeczne. Do szczęścia nie jest już potrzebny drugi człowiek, wystarczy realizacja naszych różnych możliwości, które otwiera przed nami współczesność. Wszystko to sprawia, że powoli społeczeństwa tracą swoje umocowanie i stają się społeczeństwami coraz mniejszych wymagań. Powiedziałbym, że żyjemy teraz w świecie – dotyczy to głównie Europy – który tworzy coraz mniej wymagającą kulturę. Zamiast rozumu, społecznościami zaczyna kierować społeczna emocja, instynktowne widzenie rzeczy. Nie ma czegoś, co jest związane z samym człowiekiem. Jestem wolny, ale moja wolność ma granice, nie jest wolnością absolutną, a jedynie wolnością na ludzką miarę. Są więc pewne elementy, które moją wolność ograniczają. Owszem, prowadzi ona do rozwijania moich twórczych możliwości, ale nigdy kosztem innych ludzi, rodziny, domu lub szerszej wspólnoty, takiej jak miasto czy państwo. Moja wolność jest wolnością ograniczoną, ale powiązaną, zwłaszcza dla chrześcijan, z tym wszystkim, co łączy z osobą Jezusa. Ponieważ tylko On może o sobie powiedzieć: „Jestem drogą, prawdą i życiem”, „Jestem wolnością”. A my w tej Boskiej wolności możemy tylko uczestniczyć. Dlatego wyjściem z nihilistycznego obrazu świata, który się dzisiaj coraz bardziej rozprzestrzenia, jest powrót do ewangelicznego stylu życia, przynajmniej dla katolików.

Czyli jest ratunek!

Ale każdy wierzący powinien rozeznaczyć, co to znaczy w jego osobistym wypadku, ponieważ wszystko w naszym życiu musi być rozumiane analogicznie. Kiedy mówię na przykład, że

kogoś kocham, to pojęcie miłości jest trochę inne od pojęcia innej osoby, która mówi, że też kogoś kocha. Są treści wspólne pojęciu miłości, ale są też odrębne. Gdyby tak nie było, wtedy wszyscy kochalibyśmy tak samo i tego samego. Kiedy mówię o szczęściu, jest podobnie. Dla pani szczęściem jest coś innego, dla mnie coś innego, ale jest wspólny obszar doświadczanych treści, który sprawia, że w ogóle mówimy o szczęściu.

Co jeszcze oprócz powrotu do życia zgodnie z Ewangelią może przyjść nam z pomocą?

Myślę, że powrót do skarbów kultury antycznej, greckiej, rzymskiej i innych kultur dawnych. Zbudowanie więzi z tradycją, bez której nie możemy zrozumieć współczesności. Uczynienie z Ewangelii projektu, w którego świetle rozumiemy świat i samych siebie. Dawanie o tym wszystkim codziennego świadectwa. Unikanie wojen, próba życia – zwłaszcza dzisiaj – nakierowanego na pomoc biednym i poranionym, na co tak wielką uwagę zwraca papież Franciszek. Także i na to, że coś trzeba uczynić z wielkim problemem współczesności, czyli z migracją. Nieustannie tworzą się napięcia, trudności, niepokoje, cierpienia – i temu wszystkiemu trzeba się przeciwstawić, tak jak to po ludzku jest możliwe. Bóg nie dał nam świata, który jest hedonistyczną złotą klatką, ale otrzymaliśmy od Niego przestrzeń, w której musimy uczynić jak najlepszy, po ludzku najpiękniejszy, także moralnie, świat. Bóg nie buduje za nas domów, nie daje nam samochodów, nie tworzy nam kultury. To wszystko musimy zrobić sami. Co do milionów migrujących ludzi: nie można, jak to dzieje się w Polsce, nie przyjmować imigrantów. Uważam, że na miarę humanistycznych i gospodarczych sił każda wspólnota może ich przyjąć, zapewnić im godziwe warunki życia. Wiem, że łatwo jest to powiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że wiąże się z tym wiele

niebezpieczeństw, i oczywiście nie godzę się z takimi głosami, które mówią, że wszystkich należy przyjmować, za każdą cenę. Świata nie można urządzać w imię czystej gościnności, do czego swego czasu zachęcał francuski filozof Jacques Derrida. Trzeba to robić na miarę możliwości różnych środowisk, państw czy wspólnot. Niemniej jednak ten problem imigracji czy imigrantów, jak mówi pięknie papież Franciszek, jest także problemem nas samych, naszego nawrócenia. Naszego otwartego, szczerego sposobu życia. To nie jest tylko kwestia tego, co będzie z tymi ludźmi, ale także tego, co będzie ze mną, co ja zrobię w podobnej sytuacji. A taka sytuacja może przyjść. I co wtedy? Trzeba modlić się w tej sprawie, żeby mieć siłę do otwarcia się na te trudne problemy, które niesie współczesna cywilizacja.

Ksiądz profesor mówił o migracji, która jest jednym z najważniejszych problemów współczesnego świata. Ale jest jeszcze jedno zjawisko w wysoko rozwiniętych cywilizacjach. Ludzie żyją w alienacji społecznej, są skupieni na samych sobie, swoich potrzebach. Jednocześnie wyrzucili ze swojego życia Pana Boga, zapomnieli, że właśnie On nadaje ich byciu sens.

Jan Paweł II bardzo często zwracał uwagę na ten fakt, że jeżeli Europa odwróci się od Boga chrześcijan czy w ogóle od religii, to właściwie straci swój fundamentalny wygląd. Stanie się niemal pustynią egzystencjalną, bo ludzie zostaną pozbawieni ostatecznego punktu odniesienia. Wtedy takie wydarzenia, jak narodzenie, miłość, wspólnota, a wreszcie śmierć zawisną w pustce, której sam człowiek nie może wypełnić, ponieważ jest tylko człowiekiem. Tym słowem „tylko” chcę podkreślić fakt, że człowiek czyni wszystko na ułomną miarę i musi mieć ostateczne dopełnienie w łasce Bożej. Bez tego życie ludzkie pozostaje właściwie życiem niespełnionym.

Księżo Profesorze, w ostatniej części naszej rozmowy chciałabym zapytać, jak to jest być księdzem poetą. Ksiądz Profesor urodził się z darem notowania wierszy. A poeta, cokolwiek spotka na swojej drodze, przetwarza to przez swoje serce i wrażliwość. Czy tak właśnie odbywa się to w twórczości Księdza Profesora?

Poetyckie widzenie świata jest darem, ponieważ nie sposób wymusić na sobie stania się poetą. Albo się poetą jest, albo nie jest. To zależy od tego, czy dany człowiek ma zdolność i umiejętność wyboru takich słów, dzięki którym wydobydzie z doświadczenia ludzkiego coś, co trudno nazwać, co jest ukryte, często tylko blado prześwitujące z doświadczenia. Dzięki zdolności tworzenia języka poetyckiego można odkrywać to, co stanowi istotę miłości, cierpienia, żalu, co stanowi o niepowtarzalności istnienia poszczególnych ludzi. Poezja, o czym wiadomo od dawna, a niewielu ludzi o tym mówi, jest aktywnością o dwustopniowej skali. Najpierw pojawia się irracjonalny, trudno uchwytany stan umysłu, dzięki któremu możemy poetycko oglądać świat, innych ludzi, wreszcie samych siebie. Później następuje drugi akcent owego doświadczenia, czyli trudna praca w słowie, w języku. Kiedy pisze się wiersz, mając ten niespodziewany stan umysłu, pojawiają się różne słowa, które są zaczątkiem wiersza. Później trzeba nad tym tekstem pracować, walczyć z oporem języka, odstaniać w języku to, co jest środkiem najbardziej poetyckim, co się nazywa od czasów Romana Jakobsona poetyckością. Dlatego poezja to sprzęgnięcie owego stanu umysłu i trudnej pracy w słowie. Jeżeli ktoś tego nie doświadcza, to nie może o sobie powiedzieć, że jest poetą. Zresztą należy tym słowem posługiwać się ostrożnie. Oczywiście jeśli już pisze się teksty i odważa się je przedstawiać czytelnikom, to znaczy, że odkryło się w sobie pewien talent, sprawiający, że czytelnicy odnajdą w przedstawianych wierszach coś, co ma autentycznie poetycki wymiar.

Jeśli chodzi o mnie, w swojej poezji widzę także pewien duszpasterski aspekt.

Na czym on polega?

Poezja zdaje się być pomocą w nawiązywaniu więzi z ludźmi. Często doświadczenie egzystencjalne jest tak głębokie, że nie da się go wypowiedzieć w sposób prozaiczny. Potrzeba nieco innego języka. Takiego, który nie zatrzyma się na opisie rzeczywistości, ale który wejdzie w jej odmęt, ponieważ w ludzkim życiu wszystko ma głęboki, ale i unikatowy charakter. Poza tym świat naszego doświadczenia jest światem tajemniczym. Nigdy ludzkie poznanie, zwłaszcza naukowe, nie ogarnie rzeczywistości do końca. Im mocniej czy szerzej będziemy je poznawali, tym większa będzie przestrzeń do poznania. W związku z tym poznawanie świata przez ludzi nigdy się nie zakończy. Żadna technika, nawet najbardziej rozwinięta, nie odsłoni tego, kim naprawdę jest człowiek. Nikt na świecie, oczywiście poza Bogiem, nie ma klucza do serca innego człowieka. Poezja jest jednym z elementów czy środków, dzięki którym można odsłonić nieco z tajemnicy życia świata, ale także i wiary, Kościoła, tego wszystkiego, z czego utkane jest ludzkie bytowanie. Poezja jest narzędziem głębokiego porozumienia między ludźmi, bo przy szczerzej lekturze człowiek odkrywa w poezji swoje własne przeżycia i niekiedy sam siebie bardziej dojrzałe rozpoznaje.

Teraz jeszcze lepiej rozumiem słowa Księdza Profesora: „Dobrze jest spotkać poetę zdołanego w sutannę bądź w koloratkę”.

Mówiąc tak, chciałem podkreślić znaczenie faktu, że w Polsce jest rzesza księży piszących odpowiedzialnie wiersze. To jest naprawdę godne szczególnej uwagi. W Polsce mamy wspaniałych poetów, wielką tradycję poetyckiego myślenia, poczynając od średniowiecza, a skończywszy na bardzo wybitnych

księżach poetach współczesnych. Jest to charakterystyczne dla polskiej kultury. Wyróżnia ją spośród innych.

Mistycyzm i poezja zawsze szły w parze...

Otóż w rdzeniu języka biblijnego znajdujemy symbol, metaforę, obrazowanie, elipsę, porównanie i tak dalej. Bóg wypowiedział się o sobie, zwierzył się ludziom w języku poetyckim. Tak samo czynił Jezus. W nauczaniu i dydaktyce wyznawców Ewangelii odkrywamy poetyckie widzenie świata z tego prostego powodu, że Bóg nie mógł odsłonić przed stworzeniem swojego bytu, bo gdyby tak uczynił, byłby całkowicie rozpoznany przez ludzi. W konsekwencji musieliby albo stać się częścią Boga, albo się z Nim poznać i bytowo zrównać, ponieważ wiedzieliby, kim On jest w swojej istocie. A to prowadziłoby przecież do absurdu. W związku z tym Bóg dla chrześcijan, jak to już pisał prorok Izajasz, jest tajemniczy, nierozpoznawalny, zakryty. Kiedy więc stawiamy jeden krok w Jego stronę, On o ten krok się cofa. Być może w perspektywie tajemnicy zbawienia, kiedy będziemy po stronie zmartwychwstania, dopiero wtedy rozeznamy, kim w istocie jest Bóg. Ale myślę, że to nie nastąpi. Sławne Pawłowe „twarzą w twarz” może co najwyżej oznaczać, że będziemy uczestniczyli w Bożym życiu i nieskończenie Go poznawali. Musi być wszak zawsze zachowana różnica między Bogiem a stworzeniem.

Pisze Ksiądz Profesor wiersze o Panu Bogu, ale też o wszystkim, co jest dookoła. O człowieku, jego cielesności, jego duszy. Piękne są wiersze poświęcone mamie Franciszce, o której wspominaliśmy. Odchodzenie mamy Franciszki było dla Księdza Profesora ogromnym przeżyciem, trwałym bólem.

Jak dla każdego człowieka, kiedy umiera najbliższa mu osoba. Tracimy wtedy część samego siebie. To jasne. Ale śmierć jest doświadczeniem budzącym, zwłaszcza wśród poetów,

mnóstwo refleksji, bo dotyka najbardziej węzłowych doświadczeń: narodzenia, miłości, cierpienia, szczególnie niezawinionego. A więc te najtrudniejsze, jak to mówimy z grecka, aporie życia podlegają namysłowi poety. Już w wieku siedemnastym i wcześniej, głównie w Anglii, mówiło się i pisało o tak zwanej poezji metafizycznej. Stanisław Barańczak w eseju wprowadzającym do „Antologii angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia” zaryzykował próbę opisanego fundamentalnych określeń tworzących rdzeń poezji metafizycznej. Jego zdaniem, scalają ją trzy aspekty. Metafizyka jest głównym przedmiotem poetyckiego zainteresowania; wit – to zasadniczo rozum, inteligencja, zmysłność odpowiadające mniej więcej staropolskiemu dowcipowi. Drugi czynnik, to *discordia concors* – zgoda niezgodności albo niezgoda zgodności, a trzeci – to *strong lines*, stylistyczna metoda prezentująca ów dramat. Najbardziej ciekawe wydają się w tej propozycji kwestie poetyki i stylistyki, prowadzone, gdy chodzi o poezję metafizyczną. Dzięki owym „narzędziom” poeta zamyka natłok sprzecznych cech rzeczywistości w jak najbardziej zwartej, przejrzystej formie. Z tego wynika konceptyzm, gdzie koncept jako środek poetycki umożliwia zderzenie ze sobą pozornie odmiennych treści doświadczenia, na przykład zaskakujące porównanie pary rozstających się kochanków do dwu ramion cyrkla, jak to ma miejsce w twórczości Johna Donne’a [czołowy poeta wczesnego angielskiego baroku, główny przedstawiciel nurtu poezji metafizycznej – przyp. M.J.]. Jeżeli dodamy do powyższego konkretność i różnorodność wyobraźni, budującej poszczególne koncepty, wówczas zrozumiemy głębię poetyckiej metafizyczności. W ten sposób dochodzimy do centralnego problemu poezji metafizycznej, jakim jest współlistnienie w niej na równych prawach tematyki świeckiej i religijnej, która to religijność ma tylko i wyłącznie zabarwienie chrześcijańskie.

Jak więc poezja metafizyczna pokazuje człowieka?

Sytuuje go na przecięciu nie tylko tego, co duchowe i cieleśne, ale głównie tego, co wielkie, i tego, co nędzne. Ważne są tu słowa „na przecięciu”. Poeci metafizyczni bowiem opisują człowieka jako byt osobliwy, nienależący ani do natury, ani do nadprzyrodzoności, lecz wyobcowany z racji samoświadomości i śmiertelności z obydwu tych porządków. Stąd relacja człowieka do Boga bywa wyrażana w języku zmysłowych wyobrażeń, często niezwykle szokujących, nie tracąc przy tym swej myślowej złożoności. Szczególnie podkreśla się dramatyzm wspomnianej więzi ze Stwórcą, gdyż w metafizycznej perspektywie ujawnia się niezmiernie oddalenie człowieka od Boga. Transcendencja nie jest więc przedłużeniem doczesności, a nieskończoność – dalszym ciągiem skończoności, ale stanowią bieguny, między którymi człowiek został rozpostarty jak na krzyżu. Bóg przeto ukazuje się jako *Deus absconditus*, niemożliwy do ogarnięcia i całkowicie ukryty, osiągnąć w pewien sposób tylko przez osobę Chrystusa, który niejako umniejsza, łagodzi groźną sytuację człowieka zanurzonego w przygodnym świecie, choć zawsze pozostaje świadomość „bytowej granicy”, która nigdy nie może zostać przekroczona, nawet w chwili śmierci.

Poezja metafizyczna, jak widać, stawia wielkie pytania o relację Boga i człowieka. Ale z drugiej strony pozwala Księdzu Profesorowi „porozmawiać” z Chrystusem podczas oglądania słynnego fresku Leonarda da Vinci „Ostatnia Wieczerza”. Opisał to potem Ksiądz Profesor w bardzo pięknym wierszu „Ostatnia Wieczerza. Wizyta w Mediolanie”.

Bezwzględnie. Poezja, to jest coś, co obejmuje te najbardziej tajemne, trudno uchwytnie, ale doświadczane przez ludzi przeżycia. Tak było w przywołanej przez Panią sytuacji.

Czy bycie księdzem i bycie poetą to są dwa różne życia? Któres z nich jest nadrzędne?

Sądzę, że nie można w ten sposób myśleć. Jeżeli człowiek otrzymał talent pisarski, to go ma. Jeśli łączy się to z powołaniem kapłańskim, to oczywiście można się zastanawiać, czy te dwa powołania mają na siebie jakiś wpływ. W moim wypadku twierdzę, że tak, ponieważ gdyby nie doświadczenie kapłańskie, na wiele spraw patrzyłbym inaczej. A szczególnie ważne jest dla mnie, co podkreślam, doświadczenie sakramentu pokuty. W konfesjonale słucham bardzo wielu ludzi. Stykam się w ten sposób z całkowicie nagim doświadczeniem egzystencjalnym, którego sam osobiście nigdy nie doświadczyłem. Przez te sakramentalne spotkania mam głębszy wgląd w człowieka, w różnorodność, grozę i piękno jego świata. I to wpływa na mój sposób patrzenia na rzeczywistość, a przez to na moją poezję. W tym znaczeniu doświadczenie sakramentu pokuty jest czymś wyróżniającym kapłański sposób pisania spośród innych. Oczywiście nie ma czegoś takiego jak „poezja kapłańska”. Jest raczej poezja pisana przez księży. I już.

Albo jest dobra, albo nie...

Bez względu na to, kto ją pisze. Przecież nie podkreślamy tak bardzo, że jest to na przykład poezja damska albo męska. Albo jest to arcydzieło, albo nie. Koniec, kropka. Nie ma co nad tym specjalnie dywagować. Natomiast jeśli chodzi o więź kapłaństwa i poezji, to rzeczywiście sprawy trochę się komplikują. Być może jest to jakiś wyjątek, w którym te dwa powołania mocniej się zązębiają niż w przypadku innych powołań, takich jak lekarza czy dziennikarza. Przecież mamy poetów lekarzy, chociażby Grzegorza Musiała z Bydgoszczy. Ale jeśli chodzi o kapłaństwo, pojawia się rzecz wyjątkowa, co nie znaczy, że inne powołania są przez to umniejszone. Oznacza to tyle, że

jest ono specjalnie nakierowane na duchowe doświadczenie, wrażliwe i otwarte na pierwiastki transcendentne. Poeta właściwie z tego czerpie siłę. Jest to jego twórczy instrument umożliwiający poetyckie widzenie rzeczy oraz ludzi.

A potem dzieli się tym z czytelnikami. Dlatego warto poezję czytać!

Poeta nie pisze po to, żeby wiersze trzymać w szufladzie, ale po to, żeby dzięki wierszom nawiązywać z ludźmi porozumienie. Wydaje się, że to jest najistotniejsze w sztuce poetyckiej. Chodzi o odsłanianie przed czytelnikiem ukrytych elementów egzystencjalnego doświadczenia. Utwór, zwłaszcza jeśli mówimy o poetyckim, dopiero w trakcie lektury nabiera wielu barw. Trudno sobie wyobrazić poezję bez czytelników. Ale oczywiście ona wymaga też odpowiedniej wrażliwości ze strony czytającego, a także smaku estetycznego, którego nabywamy w trakcie życia. Nikt nie rodzi się z tym smakiem, trzeba go w sobie ukształtować.

Czyli edukacja?

Wszystko w kulturze dzieje się przez przekaz, rozumiany jako proces antropologiczny. Bez niego nie byłoby kultury. W tym akcie przenoszenia i zachowywania wartości kulturowych poezja odgrywa jedną z ważniejszych ról i o tym nigdy nie wolno zapomnieć.

Dlaczego Ksiądz Profesor swoje wiersze zapisuje tylko ołówkiem lub piórem? Nigdy nie korzysta Ksiądz z klawiatury komputera.

Z merytorycznego powodu. Komputer wymusza na użytkownikach pewien rodzaj dyskursywnego myślenia, które ogranicza żywioł poetycki, prowadzi do kostnienia wrażliwości na duchowe sfery bycia, tworzy swoistą „egzystencjalną przerwę” między sobą a moim ciałem. Kiedy natomiast trzymam

w dłoni ołówek, wówczas odczuwam fizyczną jedność z kartką, na której stawiam znaki pierwszego wyboru z języka i słyszę podszept dochodzący z głębi tajemnicy. Dzięki temu jestem w stanie napisać wiersz. Nie zdarza się to jednak zbyt często. A jeśli się nie zdarza, to czekam niecierpliwie na tę, niemal mistyczną, chwilę. Bo przecież słowo poetyckie sugeruje więcej, niż sami poeci zdołają odśłonić. Także i o mnie samym.

Na koniec chcę zapytać, jak Ksiądz Profesor rozeznał w sobie powołanie do życia kapłańskiego. Ksiądz Jerzy Popiełuszko w uzasadnieniu, dlaczego chce być księdzem, napisał, że ma zamiłowanie do tego zawodu. Bardzo prosto i zarazem trochę naiwnie. Jak to było u Księdza Profesora? Czy ta myśl, by zostać księdzem, pojawiła się już pod skrzydłami księdza Piotra Bożyka w Wasilkowie?

Otóż wcale nie. Byłem wychowywany, tak jak i ksiądz Popiełuszko, w kręgu kultury przykościelnej i właściwie moja droga życiowa tejże kulturze wszystko zawdzięcza. Oczywiście całemu jej bogactwu i zarazem tajemniczym działaniom Pana Boga, o których przecież trudno tu mówić. Nigdy nie marzyłem o tym, żeby być księdzem. Wcale nie chciałem iść tą drogą. Nawet mi to przez myśl nie przeszło, mimo że byłem i jestem związany z księdzem Piotrem bardzo blisko, aż do dzisiaj. Wciąż się przyjaźnimy. Ksiądz Piotr ma teraz dziewięćdziesiąt sześć lat. Jest staruszką przykutym niemal na stałe do łóżka...

Nie namawiał Księdza do wybrania tego powołania?

Nigdy. Tak samo było przy Jurku. Zawsze uważał, że młody człowiek sam musi podjąć decyzję i wybrać swoją drogę życia. Można mu najwyżej to czy tamto podpowiedzieć. Zachęcić. Dać warunki do rozeznania duchowego. Ale tylko tyle. Delikatność księdza Piotra była tak duża, że nawet o tym nie rozmawialiśmy.

To kiedy odczuł Ksiądz Profesor głos kierujący w stronę furty seminaryjnej?

Byłem już dorosły, skończyłem studia polonistyczne. Zacząłem pracować tu i tam. Trochę w dziennikarstwie, trochę w bibliotece w Białymstoku. Szukałem swojego miejsca. Zamieszkałem wreszcie w Warszawie. To były czasy, kiedy wszyscy byliśmy zaintrygowani osobą Jana Pawła II, jego papieską działalnością. Wracając kiedyś z Warszawy do Białegostoku, doznałem niezrozumiałego pieczenia w sercu. Pomyślałem, że nie robię tego, co powinienem. Że nie jest to moja droga życia. A zdradzę, że ówczesni księża czasami mnie drażnili. Uważałem, że są słabo wykształceni. I w ogóle nie wiedziałem, co to znaczy być księdzem. Mimo to Pan Bóg przyparł mnie do muru. W pewnym momencie pojąłem, że muszę coś z samym sobą zrobić. Marzyłem o filozofii i o polonistyce oczywiście, ale połączonych z racjonalnym myśleniem metafizycznym. Stąd wynikała konieczność podjęcia studiów teologicznych, choć nie byłem do końca tego pewien. Ale po wielu kapłańskich przeżyciach wiem, że to postanowienie było podyktowane impulsem, który spłynął od samego Boga. Nie mogę tego w żaden inny sposób uzasadnić, gdyż uzasadnienie kryje się w samym tym wybraniu. Przeczynałem jednakowoż, że jest to jakiś znak prowadzący ku szerszemu, niż mi się wówczas wydawało, dobru. I dzięki łasce z niebios zostałem studentem teologii, a potem księdzem.

Ksiądz Piotr pewnie ucieszył się z tej decyzji?

Kiedy gromadziłem dokumenty potrzebne do złożenia w seminarium, pojechałem do Wasilkowa, żeby ksiądz Piotr wydał mi wymaganą opinię ze środowiska rodzinnego czy duszpasterskiego. Poszedłem na plebanię i powiedziałem: „Proszę księdza, potrzebne jest mi oświadczenie, że jestem

osobą religijną”. A on na to: „Nie muszę pisać, bo mam już takie orzeczenie przygotowane”. I wyjął z biurka poblakłą kartkę, którą napisał, kiedy byłem jeszcze młodym chłopakiem.

Czyli przeczuwał...

I chyba dobrze, że tak się stało. Nie jestem może najmądrzejszym czy najlepszym księdzem, ale staram się tego wszystkiego, co ta posługa niesie, nie zmarnować. Czy tak rzeczywiście jest, to pewnie okaże się przy Boskim spojrzeniu, kiedy umrę. Ale mam nadzieję, że Pan Bóg mnie i tych, których kocham, nigdy nie odtrąci.

W wierszu „Światło” napisał Ksiądz Profesor: „Obyś tylko umiał słuchać tych, którzy szli przed tobą”. Ksiądz to potrafi. Tymi latarniami byli: ksiądz Piotr, ksiądz Jerzy, Jan Paweł II...

Jesteśmy utkani ze spotkań: z ludźmi, z tradycją, z dziełami sztuki, z literaturą i z tym wszystkim, co niesie bogata i wielobarwna tkanina ludzkiej kultury. Bez tego byłibyśmy wyłącznie kijem włożonym w piasek pustyni albo zwiędłym kwiatem.

włożonym w piasek pustyni albo zwiędłym kwiatem. A dzięki tym spotkaniom jesteśmy osobami, które dopóki żyją, mogą pomnażać swoje wszelkie potencjalności, jakie Bóg włożył w naturę i twórczy umysł wszystkich swoich stworzeń.

Naturalnie. W ogóle jesteśmy utkani ze spotkań: z ludźmi, z tradycją, z dziełami sztuki, z literaturą i z tym wszystkim, co niesie bogata i wielobarwna tkanina ludzkiej kultury. Bez tego byłibyśmy wyłącznie kijem



Ksiądz prof. Jan Sochoń (ur. 1953 r.). Święcenia kapłańskie przyjął w 1984 roku. Od 1996 roku wykładowca akademicki. W 2006 roku uzyskał stanowisko profesora zwyczajnego na Uniwersytecie

Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, gdzie kieruje Katedrą Filozofii Kultury. Wykłada także w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Warszawie. Filozof, teolog, poeta, eseista, krytyk literacki i biograf. Wydawca pism bł. ks. Jerzego Popiełuszki oraz autor licznych publikacji na jego temat. Otrzymał wiele nagród, w tym Feniksa (2003, 2016). Mieszka w Warszawie. Strona internetowa: jansochon.pl.